

Trzecim przedmiotem improwizacji były *Melodie ludowe* Lutosławskiego – przekształcane pod względem wyrazowym (stawały się na przykład „mową gniewną”), gęstości faktury...

Program z muzyką Krauzego wychodził poza unizm, ale potwierdził jego fundamentalne znaczenie dla wyobraźni dźwiękowej kompozytora. *Refrain, Nightmare Tango, Chanson du mal-aimé* zbudowane są na figurach tak charakterystycznych, jak akord Chopinowski. Rzecz jasna, nie ma ich w glissandowej *Gloves Music*, wywodzącej się z ducha teatru instrumentalnego – zresztą minimalistycznego – ograniczonego do łapczywego rzucania się na rękawiczki (chciałbym kiedyś zobaczyć wersję „sexy”: ich zmysłowe naciąganie i odpowiednie brzmienie muzyki!). Lekko teatralizowany był też jeden z bisów: komentujące Bachowską *Inwencję* okrzyki, gwizdy, trzaskanie kłapą przywodziły na myśl reakcje uczniów zmuszanych do ćwiczenia.

Recital Zygmunta Krauzego odbył się 27 kwietnia w Salon Rouge Muzeum Augustianów. Jej wystrój (łącznie z kolorem ścian) przypomina galerię w paryskim Luwrze, w której eksponowane są monumentalne dzieła: *Wolność...* Delacroix, *Tratwa Meduzy* Géricault... Trudno wyobrazić sobie bardziej reprezentacyjne miejsce na koncert, który był wyrazem uznania dla artysty i „Semaine Polonaise”.

■ JACEK SZERSZENOWICZ

Otwieranie formy, uwalnianie energii

Na pierwszy koncert monograficzny Marcina Stańczyka czekałem z niecierpliwością i niepokojem, bo to jeden z najzdolniejszych młodych polskich kompozytorów. Kiedyś napisałem o nim kilka tekstów, jego muzyki słucham zaś od dawna, choć nigdy nie zdarzyło mi się posłuchać jej na żywo. Wiele słyszałem natomiast o technicznych kłopotach związanych z wykonaniami, otrzymanych od kompozytora nagrań miałem nie udostępnić, bo a to zabrakło perkusjonaliów, a to śpiewak nie zdążył się nauczyć partii...

Wreszcie 8 maja odbył się w Filharmonii Łódzkiej, w ramach cyklu „contem.ucha” i sesji „musica moderna”,

koncert z muzyką Marcina Stańczyka zatytułowany „Teatralizacja wykonania”. I nadeszła wielka ulga, bo to nie tylko kompozytor zdolny, ale i z wielką wyobraźnią, wszechstronny i do tego dowcipny.

Dawno nie byłem też na koncercie o tak przemyślanej formie. Obsada w trzech utworach pierwszej połowy powiększała się od solowego instrumentu przez kwartet po septet. W przerwie mogliśmy bawić się instalacją, a w drugiej części forma coraz bardziej rozluźniała się, począwszy od operowej sceny po happening. Dobrze oddaje to zasadnicze napięcie w twórczości Stańczyka między precyzyjnie rozpisany mi niekonwencjonalnymi dźwiękami a energetycznymi procesami; między czystym brzmieniem a scenicznością jego powstawania.

Nawiązujące do powidoków Strzebińskiego *Three Afterimages* (2008–2009) na kontrabas to pozornie krótka, trzyczęściowa miniatura. Jest ona jednak zapisana aż w czterech systemach – oddzielnie dla obu rąk wykonawcy, jego głosu i efektów perkusyjnych. Przed partyturą rozmiarów sporej tablicy zasiadł Łukasz Owczynn timer i już od erotycznie brzmiących glissandowych jęków zahipnotyzował publiczność. Wahał się między nieśmiałym wokalem aż po gwałtowne cwały po pudle kontrabasu. Nie zapomniał też o zaakcentowaniu łukowej formy.

Idea „po-słuchów”, inaczej flashbacków, leży także u podstaw *Anlessi rotte* (2009) na wiolonczelę, puzon i tenor. Utwór wykonało po raz pierwszy trio w składzie Małgorzata Smoczyńska (wiolonczela), Radosław Szulc (puzon) i Przemysław Baiński (tenor). Tym razem wiolonczelista pomagał w jej partii śpiewak, a całością dyrygował Maciej Salski, co trochę osłabiło założoną intensywność. Ani trochę nie pozbawiło jednak tajemnicy szmerowego początku, szlestów spółgłosek i „wiatru” puzonu, które w fascynujący sposób rozwijały się w trzygłosowym kontrapunkcie.

Ukoronowaniem pierwszej części koncertu było *Nibiru* (2009) na siedmioosobowy zespół, inspirowane mityczną dziesiątą planetą „kolizji”, obecną zarówno w astronomii preinkaskiej, jak sumeryjskiej. W utworze tym Stańczyk zdaje się najbliższy swojemu nauczycielowi Ivanowi Fedele. Miejscami punktualistyczna, miejscami repetycyjna maszynieria, pełna accellerand i crescendo, brzmi dość nowoklasycystycznie, choć w najlepszym

guście. W podobnym duchu utrzymany był także otwierający drugą połowę koncertu utwór *In Case of Rupture* (2011) na dwa barytony, tenor i zespół, napisany w ramach kursów operowych w Aldeburgh. W porównaniu do innych kompozycji, ta wyróżnia się największą płynnością przebiegu, objawiającą się w zapętłonych frazach czy tremolach. Na scenie trzech ubranych na błękitno śpiewaków bawi się styropianowymi kulkami, zgodnie z tekstem: „Świat mężczyzn przypomina świat dzieci. / Często ulegamy iluzji. Jesteśmy kapryśni (...)”.

Libretto tego utworu, a także kolejnego w programie – *Opera 3* (2010) – napisał przyjaciel kompozytora Peter Cant. To tutaj Stańczyk (*nomen omen!*) pokazuje twarz błazna ośmieszającego klasyczne sytuacje, jak próba diwy operowej z zahukanym akompaniatorem, która kończy się jego buntem. Kolejne odcinki tej scenicznej tragifarsy – włącznie z ciągnięciem za włosy i ze szczekaniem spod fortepianu – są prowokowane przez słuchaczy, głośno odliczających i odgrywających otrzymane przedtem rótki. Największy zachwyty wzbudziła jednak końcówka, kiedy śpiewaczka podeszła do siedzącego cały czas na scenie kompozytora i go... spoliczkowała!

Wreszcie dwie najbardziej otwarte propozycje wieczoru. Najpierw instalacja *Tajemnica Chopina* (2010) Marcina Stańczyka (muzyka) i Łukasza Leszczyńskiego (obiekt plastyczny): dwa czarne sześciany można na różne sposoby zestawiać, co uwalnia nagrania przerobionych *Preludiów* op. 28 – zredukowanych do samej rytmiki, niemal jak Satie w *Sokratesie* Cage’a. Z kolei luźno zamykające całość *Esercizi – homage à Karol Szymanowski* (2006) to happening na muzyków i publiczność, wyrastający ze szkolnych, ewentualnie akademickich doświadczeń. Rozsiani po sali instrumentalności ćwiczą swoje partie, umawiają się na próby, rozmawiają i plotkują, a z tego niby przypadkowego zgiełku co jakiś czas, jak za dotknięciem kompozytorskiej różdżki, wylaniają się melodie Szymanowskiego. Kiedy przychodzi brzękający kluczami portier, wszyscy po kolei się pakują i wychodzą, a cały koncert – po jakże wyrazistym początku i precyzyjnych kompozycjach – kończy się swobodnie i niemal niezauważalnie...

■ JAN TOPOLSKI